

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 „ — 40 „
1/4 „ — 20 „
1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Sic volo—sic jubeo.

Sądząc z alarmujących notatek i artykułów, jakie się ukazały ostatnio w prasie wileńskiej, w związku z zapowiedzianą likwidacją Studium Rolniczego w Wilnie — wydaje się, że jest to jedna ze spraw bieżących, która mocno poruszyła ospałą zwykle opinię społeczną Wileńszczyzny. We wszystkich odłamach prasy miejscowej, nieoczekiwane zarządzenie Ministerstwa W. R. i O. P. nie przyjmowania zapisów słuchaczy na Studium Rolne (U.S.B.), co jest wyraźną zapowiedzią likwidacji tej uczelni, wywołało gwałtowny sprzeciw. Wprawdzie od kilku lat krążyły pogłoski, że Studium Rolnicze ma ulec likwidacji, jednak ostatnio wyglądało już na to, że projekt ten został zaniechany i, że Studium Rolnicze nie tylko nie ulegnie likwidacji, lecz, przeciwnie, ma nastąpić jego podniesienie pod względem zaopatrzenia w nowe siły i pomoce naukowe. Jak się jednak okazało, Min. W. R. i O. P. przesądziło definitywnie jego likwidację.

Studjum Rolnicze zostało zorganizowane w 1924 roku, jako autonomiczna uczelnia przy Wydziale matematyczno - przyrodniczym U. S. B. w Wilnie. Od samego początku założenia nie cieszyło się ono względami Ministerstwa Oświaty, które we wszystkim tej uczelni skąpiło, łożąc ostatnio minimalne koszty na jego utrzymanie, wynoszące obecnie około 54 tysięcy złotych, co jest rażące w porównaniu do wydatków tego Ministerstwa na inne zakłady naukowe (na utrzymanie Instytutu Badawczego Europy Wschodniej łoży Ministerstwo zgóra 150 tysięcy zł.).

Studjum Rolnicze w Wilnie posiada poważne własne fundusze materialne w postaci zapisu mrg. Umiaszowskiej, która na cel utrzymania Studium Roln. zapisała duże dobra Żemłostawskie. Fundacja ta przedstawia poważny kapitał, gdyż maj. Żemło-

staw ma około 1000 hektarów uprawnej ziemi i łąk i około 1500 hektarów bardzo wartościowych przetrzeni leśnych. W normalnych warunkach taki majątek może stanowić poważne źródło dochodów na utrzymanie Studium Rolniczego, stanowiąc przytem znakomity obiekt rolniczy dla celów praktyczno-naukowych. Jeżeli zważyć, że uniwersytet wileński oddaje na rzecz Studium Roln. majątek podmiejski Zakręt—to uznać należy, że Studium Roln. jest dobrze sytuowane pod względem środków własnych.

Biorąc więc te fakty pod uwagę jak również i to, że Studium Roln. względnie bardzo mało Skarb państwa kosztuje, trzeba przyjść do przekonania, że nie oszczędnościowe motywy skłaniają Ministerstwo Oświaty do likwidacji Studium. Prawdopodobnie istnieją inne motywy, co do których nikt tu jednak nie jest poinformowany. Minęły bowiem te czasy kiedy z opinią miejscową liczone się i zasięgano jej zdania. Dlatego, nawet, zdawałoby się, najbardziej kompetentni i zainteresowani nic zgola nie wiedzą o motywach ministerstwa. Podobno na miejsce Studium Roln. ma być w Wilnie zorganizowana średnia szkoła rolnicza, o charakterze liceum.

Wileńskie sfery rolnicze, które wielką wagę przykładają do istnienia w Wilnie wyższego zakładu rolniczego, o założenie którego ubiegano się u rządu rosyjskiego jeszcze przed wojną, wysuwają bardzo poważne i przekonujące argumenty, uzasadniając konieczność istnienia Studium Rolniczego w Wilnie i wielkie znaczenie jego dla podniesienia miejscowego rolnictwa. Przypuszczać należy, że argumenty te są dobrze czynnikiem miarodajnym znane, jednak nie są dla nich przekonujące. Wydaje się nawet, że wywierają one odwrotny skutek. W całej swojej argumentacji sfery rolnicze powołują się na dobro tutejszego rolnictwa, do pewnego stopnia przeciwstawiając się szablónowi centralistycznych poczynań Warszawy. Naprzykład wysuwany jest argument, że

dla miejscowej młodzieży rolniczej Studium Roln. w Wilnie, jest najbardziej odpowiednią i jedynie dostępną uczelnią rolniczą, że konieczność wyjazdów do innych miast Polski uniemożliwi tej młodzieży odbywanie studjów rolniczych wogóle, że wileńskie Studium Roln. wytwarza bardzo pomyślne warunki dla podniesienia kultury rolnej i t. d.

Ale czy są to motywy przekonywające dla Warszawy? Przeciwnie, takie argumenty mogą się nawet niepodobać. Wszelkie dążności, zmierzające do wywyższenia Wilna, jako samodzielnego ośrodka kulturalnego, są raczej źle widziane. Takie wileńskie deklamacje o misji Wilna, nietylko nie robią już wrażenia, lecz odwrotnie wzbudzają podejrzenie, że Wilno chce się wyodrębnić i grać jakąś samodzielną rolę. To wcale nie leży w programie „zglejshaltowania” „Kresów wschodnich”, które we wszystkim mają się upodobnić do „Macierzy”. Przeciwnie, im miejscowe społeczeństwo więcej będzie uzależnione od instytucji i ludzi z centrum, tem łatwiejsze będzie utrzymywanie jego w biernej zależności.

Wcale więc nie jest przekonywujący argument, że młodzież z Wileńszczyzny nie będzie mogła otrzymać wyższego wykształcenia rolniczego i, że w Wilnie nie będą wytwarzać się lokalne autorytety fachowe. Właśnie to jest pożądane, aby Wileńszczyzna, jak wogóle całe „Kresy wschodnie”, stanowiły locum dla nadmiaru fachowej inteligencji z Polski. Dziesiątki agronomów inżynierów z rdzennej Polski doskonale mogą obsłużyć „Kresy”—poco więc stwarzać im konkurencję w postaci tutejszych ludzi, którzy mogą i z innych względów stać się niewygodni. Kochane „Kresy” wcale nie potrzebują mieć rodzimej inteligencji zawodowej. Lepiej, gdy będą one stanowiły teren dla eksportu inteligencji z centrum. Jest tam tego towaru dosyć na eksport—poco tamować mu „Drang nach Osten”, tak pożądany ze względów politycznych i ekonomicznych?

Wydawać się może, że z takim rozumowaniem w sprzeczności stoi istnienie w Wilnie uniwersytetu. Ale któż wie jakie są dalsze zamierzenia Min. W. R. i O. P.? A może likwidacja Studium Rolniczego (w zeszłym roku zlikwidowano tu farmację) jest zapowiedzią powolnej likwidacji i Uniwersytetu w Wilnie? Kto to może wiedzieć, co wprawdzie piszczy.

Wszak rola wileńskiego uniwersytetu i tak już została spaczona. Miała to wszak być placówka naukowa, wznawiająca dawne tradycje naukowe Wilna. Okazało się jednak, że rola Wilna pod tym względem została sprowadzona do roli „ujezdnego goroda Jurjewa” w dawnej Rosji, gdzie sławny ongiś dorpacki uniwersytet stał się ośrodkiem rusyfikacji kraju estońskiego, w którym seminarzyści z całej Rosji mogli odbywać wyższe studja, niedostępne dla nich w innych uniwersytetach. Czyż nie podobnie rzecz się ma obecnie z uniwersytetem wileńskim? I tu również co roku przybywa kilkaset maturzystów z całej Polski, aby robić ruch w ospałem Wilnie. W znacznym też stopniu przybysze ci, po ukończeniu studjów, pozostają na posadach na „Kresach”. Jedynie Studium Rolnicze stanowi wyjątek, gdyż słuchacze jego wyłącznie prawie rekrutują się z miejscowej młodzieży. Ale właśnie to Studium skazane jest na likwidację.

Charakterystyczną jest rzeczą, że wileńskie Studium Rolnicze, jakkolwiek stale było po macoszemu przez ministerstwo traktowane, znalazło duże uznanie w miejscowym społeczeństwie. Miejsce społeczne bardzo sobie ceni tę uczelnię rolniczą i duże na jej rozwoju pokładało nadzieje, wciąż oczekując dla niego lepszych czasów. Wychowankowie Studium Roln., przeważnie, jak wspomnieliśmy, rekrutujący się z miejscowej młodzieży rolniczej, znaleźli wszyscy (38 inżynierów rolnych) prace

Skarby królowej Heleny.

(D. c.)

W Bielsku Helena przyjęła poselstwo moskiewskie z wielką radością i zadowoleniem. Widocznie oprócz zamiaru złożenia hołdu córce Iwana, miał poseł moskiewski jakieś inne jeszcze zlecenia, prosił bowiem Helenę, by mógł rozmówić się z nią na osobności. Królowa wyznaczyła mu dzień i godzinę oraz miejsce—jedną z cerkwi prawosławnych w Bielsku. Bojąc się być podsłuchaną, wzięła ze sobą jako towarzyszkę wspomnianą księżną Zasławską. Zostawiwszy ją w cerkwi, sama wyszła na przyległe pole (cmentarz?) i tam zdala od ludzi odbyła z posłem niezmiernej wagi rozmowę, która dotyczyła żywotnych interesów tak Litwy i Polski, jak Moskwy. Oświadczyła w niej Helena posłowi, że wreszcie zdecydowała się opuścić na zawsze Rzeczpospolitą i powrócić na stałe do Moskwy. Co do swych skarbów, ulokowanych bądź w klasztorze wileńskim bernardynów, bądź po fóżnych zamkach

swych, to chciała je powoli przewieźć nad granicę moskiewską do Brasławia i tam zgromadzone oddać je bratu carowi Wasylowi, by miał środki dostateczne do prowadzenia zamierzonych wojen z Polską i Litwą, których teraz całą duszą nienawidzi, pomna na niedopuszczenie do koronacji, lekceważenie i jawne od niej stronienie. Mało tego, żądała, by brat Wasyl, na czele wielotysięcznej armji, niespodzianie napadł i zdobył Brasław, by skarby jej bezpiecznie wysłać stąd do Moskwy, a równocześnie obsadził oddane jej w dożywocie zamki i włości, przyłączając całą tę ogromną połać kraju na zawsze do państwa moskiewskiego. Po tych wynurzeniach, odesłała posła carskiego do domu.

Trudno dziś dociec, czy ten projekt zrodził się w głowie Heleny, czy był jej podsunięty przez otaczających ją dworzan i duchownych moskiewskich. Oburzył on jednak do głębi towarzyszkę Heleny księżną Zasławską. Choć prawosławna i Rurykowieczówna z rodu, czuła się ona Litwinką w sensie państwowym, i nietylko nie była zdolną do uczestniczenia w planowanej przez Helenę zdradzie,

w kraju i zdobyli sobie uznanie, jako dobrzy i uczciwi fachowcy.

I oto po dziesięciu latach istnienia, kiedy już uczelnia ta zaczęła stawać na nogi po okresie organizacyjnym—zdecydowano jej likwidację. Zamknięto oczywiście drogę wielu miejscowym ludziom do wyższych studjów rolniczych, a wileński uniwersytet pozbawi tej najbardziej go z miejscowym społeczeństwem łączącej placówki. W przyszłości Wilno już będzie produkować przeważnie z napływowego elementu rekrutujących się: filozofów, aplikantów, lekarzy, teologów—jedynie tylko nie będzie w nim miejsca dla adeptów wiedzy rolniczej, tak potrzebnych dla kraju.

Rolnik.

Galerja Cziurlionisa w Kownie.

P. Michał Brensztejn, znany badacz przeszłości kulturalnej naszego kraju, bawił w roku ubiegłym w Litwie Niepodległej, gromadząc źródłowy materiał o naukowych i artystycznych instytucjach litewskich. Owoce tych studjów jest praca p. Brensztejna p. t. „Nauka w Republice Litewskiej”, zamieszczona w XIX t. „Nauki Polskiej” (Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1934). Jeden z rozdziałów wspomnianej pracy zawiera szczegółowy opis Galerji Cziurlionisa, który poniżej przedrukujemy w całości.

Muzeum w zupełności zorganizowanem jest t. zw. Galerja M. K. Cziurlionisa (M. K. Čiurlionis Galerija) ze związaniem z nią nierozdzielnie Muzeum Państwowem (Valstybines Muziejus) we wspólnym gmachu na Dębowej Górze (dawniej Zielonej).

Pobudką do założenia Galerji stała się chęć skupienia w jednym miejscu dzieł malarskich Miłkołaja Konstantego Cziurlionisa i stworzenia pod patronatem imienia tego największego plastyka litewskiego narodowej galerji sztuki litewskiej wogóle.

Cziurlionis ur. w r. 1875 w Oranach w pow. trockim, gdzie jego ojciec był organistą. Mając lat 14, w dn. 20-VII 1889 trafił do orkiestry pałacowej księcia Michała Ogińskiego w Płungianach na Żmu-

dzi i pracował w niej do 31-X 1893 r. Książę, dostrzegłszy w nim niezwykle talent muzyczny, zwłaszcza kompozytorski, wysłał go swoim kosztem do konserwatorium warszawskiego. W r. 1900 skończył klasę Noskowskiego, w roku następnym za swoją symfonię orkiestralną „Las” zdobył najwyższą nagrodę konkursową im. hr. Zamoyskiego, za „Polonez” zaś, również na orkiestrę, otrzymał od ks. Ogińskiego stypendjum na wyjazd do Lipska. Wkrótce jednak wrócił do Warszawy, aby w latach 1904—5 jednocześnie z muzyką zacząć uprawiać malarstwo w szkole Kauzika i Stabrowskiego. Odtąd prawie wyłącznie oddał się malarstwu i, przenosząc się z miejsca na miejsce, po dłuższej chorobie umysłowej zmarł 18-III 1911 r. w zakładzie w Nowym Dworze pod Warszawą, lecz został pochowany w Wilnie na „Rosie”. Pozostawił kilkaset obrazów, malowanych przeważnie pastelami i temperą. Łącząc w swym umyśle melodję z barwami, tworzył całe cykle artystycznych wizyj muzyczno-malarskich pełnych mistycznych symbolów, zawsze fascynujących swoją siłą, oryginalnością kompozycji, zagadkowością treści, kolorytem i techniką, jemu tylko właściwymi.

Dn. 13-XII 1921 r. Sejm Litewski uchwalił Statut Galerji Cziurlionisa i 27-II 1922 r. Min. Oświaty nabyło od wdowy Zofji z Kimontów Cziurlionisowej za 65.000 niemieckich marek złotych 193 prace malarskie i graficzne jej męża.

Dn. 13-XII 1925 r. odbyło się uroczyste otwarcie Galerji wraz z Muzeum w budynku jednopiętrowym z miłym empirowem wejściem, zbudowanym w stylu neoklasycyzyzmu z materiału ze zburzonego fortu rosyjskiego, t. zw. IX-ej baterji na Zielonej Górze. Projekt wykonał wilenianin arch. Włodzimierz Dubieniecki.

Koszta budowy — 256.000 litów — i całkowitego utrzymania od początku ponosi Min. Oświaty. Roczne dotacje, sięgające w roku 1926—99.400, w r. 1927—114.000 i w r. 1930—nawet ponad 290.000 lit., w latach następnych uległy redukcji, spadając w r. 1931 do 55.500, w roku 1932—60.300 i 1933—38.127 lit. Obok utrzymania gmachu i poborów lwia część przeznaczona jest na pomnażanie zbiorów, zwłaszcza dzięki pomocy wysyłanych na prowincję specjalnych ekspedycji, skupujących przedmioty godne zachowania.

lecz nie chciała by padł na nią nawet cień mimo-wolnego współdziałania w tej akcji.

Cóż więc czyni? Oto zawiadamia natychmiast o wszystkim Aleksandra Gasztołda, siedzącego na zamku grodzieńskim. Niesłychanie ambitny i bajecznie bogaty ten magnat od zgonu Witolda Wielkiego marzył, by jeśli nie wielkoksiążęcy kołpak litewski włożyć na swą głowę, to już co najmniej wybrać z Litwy jakiegoś udzielne księstwo dla siebie, ze stolicą swą w Grodnie. Lubił gdy go zwano „księciem grodzieńskim”, acz oficjalnie tytułu tego nie używał. Miał on własną nieprzeniknioną politykę i własnymi lubił chadzać drogami. Nie dbając o łaski i względy królewskie, ten wielmoża litewski nie napisał o zamiarach Heleny bezpośrednio do króla, lecz korzystając z pobytu w Grodnie wracających tędy z misyj do Wilna paru bernardynów, posłał przez nich list do znakomitego gwardjana wileńskiego o. Jana z Komorowa (Komorowskiego), powiadamiając go niebezpiecznych planach Heleny i usilnie doradzając za nic nie wydawać złożonego u bernardynów w Wilnie depozytu, *nawet samej królowej*

Helenie. Jednocześnie radził, by bernardyni wileńscy sami zawiadomili o wszystkim króla i czekali jego decyzji.

Zaniepokoił się wielce gwardjan wileński o. Komorowski. Rozumiał, że zbliża się znowu nielada przeprawa z powodu depozytu Heleny i dobre imię klasztoru i zakonu wystawione będzie na próbę. Wiadomość o skarbach królowej Heleny przestała już siłą rzeczy być tajemnicą, owszem stała się szeroko rozgłosną. Postanowił tedy o. Komorowski pozbyć się tego depozytu co prędzej i zwrócił się z prośbą do wojewody wileńskiego Radziwiłła, by jako pierwszy w Litwie dostojnik państwowy, zabrał depozyt Heleny. Uzasadniał to powołaniem się, że jako nie koronowana na królową polską, pozostała tylko wielką księżną litewską, a więc do wojewody Radziwiłła z urzędu należy opieka nad temi skarżkami. Na taki *dictum* roześmiał się wojewoda wileński i rzekł:

„Zadrwili z was, ojczyzn gwardjanie, i oszydzili! W tych skrzyniach z pewnością niema żadnych klejnotów i kosztowności. a są tylko proste kamie-

Według nieco zmienionego w r. 1925 Statutu, organem naczelnym Galerji i Muzeum Państw. jest komisja, wybierana na 3 lata, w której skład wchodzi 3 delegaci Litewskiego Towarzystwa Twórców Sztuki i 1 delegat Min. Oświaty pod przewodnictwem ex officio dyrektora Galerji, który komisję zwołuje w miarę potrzeby. Sekretarzem komisji jest sekretarz Galerji. Członkowie, zatwierdzani przez Ministerstwo, pobierają po 15 litów za posiedzenie. Do jej kompetencji wchodzi kwalifikowanie przedmiotów do kupna, organizowanie zbierania i opracowanie instrukcyj dla zbieraczy, wgląd w porządek wewnętrzny, zatwierdzenie projektów publikacyj i t. p.

Organizacja wewnętrzna, administracja i reprezentacja nazewnątrz należą do dyrektora, mianowanego przez Min. Oświaty, mającego do pomocy tylko jednego sekretarza - buchaltera, woźnego i palacza, składających cały personel etatowy Galerji.

Dyrektorem od początku jest p. Paweł Galaune (Hołownia), wyborny znawca sztuki i sam artysta-grafik. Studja odbył przed wojną w szkołach sztuk pięknych w Petersburgu i Moskwie, po wojnie uzupełnił je w paryskim Luwrze. Od r. 1925 jest docentem Uniw. kowieńskiego i wykłada teorię oraz historję sztuki w najszerszym zakresie, nie pomijając sztuki polskiej. Znany jako autor wielu rozpraw i artykułów z tej dziedziny a m. in. wydanych nakładem wydziału humanistycznego Uniwersytetu kow. prac osobnych: „Vilniaus Mėno Mokykla 1793—1831” (Wileńska Szkoła Sztuki 1793—1831. Kowno 1928. S. 130 i ryc. 45) i monumentalnego dzieła p. t. „Lietuvių Liaudies Mėnas. Jo meninių formų pletojimosi pagrindai” (Litewska sztuka ludowa. Podstawy rozwoju jej form artystycznych. Kowno 1930. S. 301 i ryc. 174).

Wnętrze Galerji doskonale oświetlone, z oszkłoniem i sufity w salach górnych, ogrzewaniem centralnym, ładną klatką schodową, wspartą na czarnych kolumnach marmurowych, w zupełności przystosowane do celów muzealnych, robi wrażenie miłe zarówno w całości jak i w szczegółach.

Znać tu umiejętną rękę kierowniczą muzeologa i artysty w kolorze ścian, wyzyskaniu miejsca, wyborze i przejrzystym zgrupowaniu przedmiotów, w oprawie konserwacyjnej i rozwieszeniu obrazów, pomysłowej konstrukcji precyzyjnie wykonanych,

nie, które to przebiegła Moskiewka, tylko dla pozor i ludzkich oczu, u was jako bogaty depozyt złożyła, a prawdziwe skarby w innem ukryła miejscu”.

„— Nie! miłościwy panie wojewodo — odparł na to gwardjan — to są prawdziwe kosztowności i klejnoty, które ja na własne oczy widziałem wówczas, gdy tu do Wilna przybył podskarbi królowej Heleny z jej pismem i pieczęcią. Wtedy otworzyliśmy jedną z oznaczonych skrzyń i wyjęliśmy z niej czterdzieści puharów złotych i srebrnych, które sobie do Bielska przywieźć kazała. Podówczas widziałem jakie mnóstwo bezcennych klejnotów w różnej wielkości pudełkach było w tej skrzyni, i jestem przekonany, że także w innych skrzyniach podobne są kosztowności”.

Na te słowa spoważniał i sposepniał wojewoda i zaczął wypytywać o Komorowskiego, skąd wie o planach Heleny i zamierzonym zbrojnym zamachu Moskwy na ziemie Rzeczypospolitej. Gwardjan opowiedział dokładnie co mu doniósł w liście Gasztdol, poczem wojewoda po namyśle taką dał odpowiedź:

„— Ja sam... na własną rękę do tej sprawy

kosztownych szaf z wysuwaniem oszkłoniem dwustronnie ramami do tkanin, w gablotach, zasłonach grzejników, słowem wszędzie. Niema przeładowania i stłoczenia, chociaż zbiory są liczne i lokal jest już dla nich za szczupły. (D. n.)

W końcu lipca i na początku sierpnia bawił w Wilnie, na zaproszenie Klubu Włóczęgów, głośny działacz szwedzki K. Lindhagen, burmistrz Sztokholmu oraz inicjator projektu związku bałtycko-skandynawskiego. Na cześć wybitnego gościa odbyło się w Klubie Włóczęgów zebranie, na którym Lindhagen wygłosił dłuższe przemówienie na temat kwestji wileńskiej i stosunków polsko-litewskich. Niestety, „Kurjer Wileński”, który szeroko się rozpisywał o przyjeździe Lindhagena w Wilnie, nie zamieścił sprawozdania z tego zebrania. A byłoby przecież ciekawem dla Wilna dowiedzieć się, co powiedział w tak żywo obchodzącej wszystkich nas sprawie bezstronny polityk szwedzki. Z niecierpliwością będziemy oczekiwali ukazania się kolejnego numeru „Włóczęgi”, gdzie niewątpliwie chyba znajdziemy jeżeli nie dokładny tekst, to przynajmniej obszernie streszczenie przemówienia Lindhagena.

Dokoła jeziora Narocz.

(Wrażenia turystyczne).

Oibrzymia tafla cichej wody. Ledwo dojrzeć brzeg przeciwległy. Na brzegach lustrzanej powierzchni od strony zachodniej ruch i gwar. Nowe budynki choć drewniane, ale okazałe aż do pretensjonalności. W nadbrzeżnym lasku jak grzyby po deszczu powyrastały namioty. Obok nich na górze, jakieś zbiorowisko a może lepiej zebranie młodzieży. Dziewczęta ubrane po sportowemu, słuchają jakiegoś odczytu czy też „rozkazu dziennego”. Po lesie, po drogach a nawet po wsi białoruskiej, położonej nad brzegiem, snują się postacie plażowiczów. Opasły mieszczech, skromna pensjonarka, panie „z towarzystwa” demonstrujące w obcisłych, „kąpielówkach” swe wdzięki — na tle słomianych strzech zarysowują się zbyt kontrastowo i w odniesieniu do mieszkańców chat wyglądają jakby wyzywająco. Na wodzie sporo kajaków i łodzi żaglowych, które białymi trójkątnymi plamami wystrzelają

się nie wezmę, ale zwołam przedniejszych panów litewskich i wspólnie się nad nią naradzimy. Na wszelki wypadek zobowiązuję was, ojcze gwardjanie, byście tego depozytu pilnie strzegli i, pod żadnym warunkiem nikomu, nawet królowej Helenie, nie wydawali, a gdyby ktoś gwałtem chciał go zabrać, to donieście mi, a ja natychmiast pośpieszę z pomocą”.

Potrzeba takiej pomocy okazała się niebawem. Rychło bowiem po wypadkach opisanych zjawili się u furty bernardynów wileńskich wysłannicy Heleny z jej pismem, polecającem wydania tym całego jej depozytu. Gwardjan o. Komorowski powołał się w odpowiedzi swej na to, że depozyt obecnie jest pod opieką wojewódzką i bez zezwolenia wojewody wydany być nie może. Nic nie pomogły gniewy, prośby, groźby... Wysłannicy Heleny odjechali — z niczem. Bardzo dobrze rozumieli i wojewoda i gwardjan, że rozgniewana królowa wdowa innych użyje sposobów, by dopiąć swego celu. Obawiano się zwłaszcza, by namówiony przez siostrę car Wasyl nie rzucił się teraz już nie na Braśław, lecz na Wilno, by zrabować miasto i depozyt razem. (Dok. n.)

z gładkiej powierzchni. Tylko chaty i żagle stanowią tło zapożyczone z obrazów epoki romantycznej — reszta, to znaczy świecący opaloną golizną ludzie i nowe budynki należą do nowoczesności.

To dzisiejsze jezioro Narocz.

Od czasu, gdy zamilkł kilkoletni ryk armat, takiego ruchu jeszcze tu nie było. Oto obóz żeński z t. zw. Straży Przedniej okręgu Lwów, dalej podobny obóz męski. Młodzież podziwia ogrom jeziora, zachwycona piaszczystym dostępnym brzegiem i czystą jak kryształ wodą. Gdy jezioro śpi pogrążone w ciszy, nikt by nie przypuszczał, że może pnieć się i burzyć w czasie silnych podmuchów wiatru. Wtedy od wzburzonych fal nie można oczu oderwać. Ma się przedsmak morza i nie jeden już, kto sobie zlekceważył rozbukany żywioł płynąc kajakiem na głębinę — przyplącił to życiem.

Na wschodnim brzegu od strony jeziora Miastro przed kilku laty wzniesiono komfortową willę nazwaną schroniskiem. Miejscowość może jeszcze piękniejsza. Ma stary las sosnowy nad brzegiem. Jednak trudności komunikacyjne nie wróżą takiej przyszłości temu brzegowi, jak to można zaobserwować od strony wsi Kupa. Tam należy oczekiwać rozbudowy lotnisk jako w punkcie położonym zaledwo o 3 kilometry od kolei.

Ale wejdźmy do schroniska.

Tuż za progiem uderza przybysza powódź światła słonecznego, stylowe urządzenie, komfort. Pierwsza sala jadalna ma, jak się zdaje, wygląd najbardziej reprezentacyjny. Przy jednym ze stołów jakiś ksiądz w towarzystwie osobnika o powierzchowności szlachcica zaściankowego. Przy bufecie niewiasta z miną nietylę gościnną, ile urzędową. Pozatem pustki. Prawdopodobnie letnicy rozeszli się po lesie, gdyż na jeziorze nie zauważyłem ich dużo. Spodziewałem się tu zastać ruch większy, we wsi poinformowano, że w schronisku zamieszkuje „kala 200 burżuazji”. Na jednej ze ścian ku wygodzie gości zawieszona mapa — „sztabówka”, wskazująca szczegółowo teren kompleksu jezior i pobliskich okolic, przy drugiej, na specjalnym stoliku osobliwość schroniska — księga pamiątkowa dla uwiecznienia autografów gości. Ozdobna oprawa skórzana, luksusowy papier pergaminowy wskazują, iż gospodarze mają księgę w szczególnej pieczy. I nic dziwnego: na stronie pierwszej widnieje autograf p. Prezydenta Mościckiego z czasów, gdy odwiedził schronisko. A dalej coś w rodzaju zbiorowych pamiątek gości i nie gości, lub nawet księga skarg. Pełno tu aforyzmów, notatek, uwag, osobistych przeżyć pisanych rozmaitym stylem i w rozmaitych językach. Nie brak oczywiście notatek o treści nieprzyjemnej dla gospodarzy lokalu. „I budzie ūnukaŭ panavaŭnie tam, dzie siahoŭnia płača dzieć”. — cytuje ktoś z Kupały. Kontrast pomiędzy wsią a sąsiadującym luksusowym schroniskiem nasunął mi taką jakby odwetową refleksję. Napotkałem w księdze strony posklejane ze sobą. To „cenzura” — tłumaczą mi. Zaklejono w ten sposób aforyzmy „antypaństwowe”, napisane w języku białoruskim.

Rozmawiałem z mieszkańcami pobliskiego Miadzioła, Zanarocza, Hatowicz, Kaczergi, Mikolców, Pasynków, Padrezów i in. Nie są oni zachwyceni miejskim szturmem na wody Narocza. Wsie najbliższe od punktów lotniskowych uzyskały rynek zbytu dla swych produktów, ale może dzięki temu kontaktowi handlowemu cechuje wieśniaków stosunek pobłażliwo-drwiący do przybyszów. Najwidoczniej

rażą ich współczesne plażowe zwyczaje i wylegiwanie się beczynne wogóle w czasie najgorętszej pracy na roli. Nawet w wioskach dalszych od lotnisk nie zauważyłem ani dawniej znanego czapkowania przed nieznanym, nadskakowania lub strachu. Przeciwnie, daje się zaobserwować w stosunku do przyjezdnych pewne wymaganie szanowania zwyczajów miejscowych. Przekonałem się o tem, niestety, na własnej osobie. Przechodząc obok nieznanym mi żniwiarzy posłyszałem najwyraźniej skierowany do mnie głos dziewczyny z dobitnym odcieniem ironji: „dziakujem, dziakujem”, poczem inna kobieta, powstrzymując od dalszych „podziękowań” tę pierwszą, nie omieszkała skierować pośrednio pod moim adresem paru uszczypliwych, lecz dowcipnych uwag. Zorientowałem się po niewczasie, że zapomniałem przywitać pracujących słowami „pamaży Boża”. Pozostawało mi udać, że nic nie słyszałem.

Świadomość narodowa wsi nie jest w okolicach Narocza kompletną. Pokutuje tu jeszcze pośród wieśniaków utożsamianie wyznania z narodowością. Katolików Białorusinów nieraz prawosławni nazywają Polakami. „Czy oni pomiędzy sobą rozmawiają po polsku?” — zapytuję. „Ależ nie. Nikt z miejscowych nie mówi po polsku. Wszyscy po białorusku”. — „No, więc są Białorusinami” — zauważyłem. Rozmówca mój nie zaprzeczył, ale też i nie potwierdził. Młodzież znacznie lepiej orientuje się w tych sprawach, szczególnie w wioskach, dokąd dochodzi gazeta białoruska. W Hatowiczach wspominają przyjazd uczniów gimnazjum białoruskiego z orkiestrą i podkreślają niezadowolenie policji z tego powodu.

— „To cmentarz niemiecki z czasów wojny a tutaj nasz białoruski” — tłumaczył mi stary wieśniak w pewnej wsi. Białoruski cmentarz to coś nowego — pomyślałem. Może to było powiedziane dla analogji z niemieckim cmentarzem. W każdym razie i tu było splątanie wyznania z narodowością. Świadczyło jednak, jak się zdaje, że w tej wsi białoruskość jest mocniejszą od prawosławia.

Sprawy gospodarcze na wsi koło Narocza obecnie nie przedstawiają się zbyt źle. Z urodzaju tegorocznego są wszyscy zadowoleni. Ludność po kompletnej ruinie powojennej powoli odbudowała się, choć budynki naogół są liche. Największym utrapieniem wsi nad brzegami Narocza, Miastra i Świru jest obecnie projekt rządowy pozbawienia ludności bezpłatnego łowienia ryby. Zrealizowanie tego projektu niewątpliwie znacznie pogorszy stan materialny wsi, a skarbu państwa nie zubożyci.

Wrażenie ogólne: wieś białoruska a turyści — to dwa światy bliskie sobie fizycznie, a jakże dalekie duchowo, obce i nawzajem nierozumiejące się.

Czy zbliżą się kiedykolwiek i w jaki sposób?

Szkoda będzie, jeśli piękne jezioro Narocz w nowych dziejach kraju odegra tylko rolę obiektu przyciągającego przybyszów z nad Wisły, pretendujących do „misji kulturalnej”, obcej dla ludności miejscowej.

Bowiem nawet niewinna turystyka i zachwyt nad pięknem przyrody w naszych czasach nie są pozbawione nieświadomych lub świadomych inklinacji politycznych.

Półwiecze dziejów zakonu oo. Bazyljanów (1882—1932).

Pod takim tytułem, na zeszlórocznym odbytym w Warszawie, w końcu lata, międzynarodowym kongresie historyków wygłosił o. Józefat Skruteń, Z. S. B. W. w języku francuskim odczyt, który dziś ukazał się w osobnej odblacie z czasopisma *Analecta O. S. B. M.**). Jest to ujęta na kilkunastu zaledwie stronicach próba syntezy ostatniego pięćdziesięciolecia w życiu bazyljanów. W chwili obecnej nikt z bazyljanów bardziej się chyba nie nadawał do dokonania tego obrachunku z przeszłością, niż wielce zasłużony redaktor lwowskich *Analectów*, który jednocześnie jest—naszym zdaniem—twórcą dzisiejszej ideologii bazyljańskiej i mózgiem t. zw. obozu bazyljańskiego, odegrywającego rolę poważną w cerkiewnym i narodowym życiu Galicji Wschodniej i rozporządzającego tak dobrze redagowanym organem, jakim jest „*Nowa Zorja*”.

Na wstępie swego referatu o. Skruteń trafnie zwraca uwagę słuchacza, wzgl. czytelnika, na fakt znamienny, iż sięgający początkami swymi w IV zakon św. Bazylego W. nie ma jeszcze opracowanej swej historii, chociaż ta ma liczne a pełne chwały karty, szereg postaci wybitnych, wiele momentów o wysoce dramatycznym napięciu... Nie jest też napisaną historia tej gałęzi bazyljanów, którą Unja Brzeska wszczepiła znowu do macierzystego pnia Kościoła. I nic tu nie pomogło, że pap. Leon XIII nie skąpił zakonowi takich komplementów, jak np. *Quo (ordine) viginti, Ruthenorum viguit Ecclesia*. Moment znawstwa przeszłości swego zakonu doniosło się uwidatnia u jezuitów i jest jedną z tajemnic zwartości *Societatis Jesu*. Dziś już i u bazyljanów jest pod tym względem znacznie lepiej.

Podkreślając słusznie duże znaczenie historyczne Unji Brzeskiej, należy jeszcze pamiętać, że metody wprowadzania jej w życie muszą wywołać cały szereg b. poważnych zastrzeżeń. Nieskazitelna w swej części dogmatycznej, Unja Brzeska była dla polsko-łacińskich jej kontrahentów parawanem, za jakim chciały się ukryć tak dobrze nam dziś znane tendencje wszechłacińskie i wszechpolskie. Mogły one mieć inne niż obecnie formy, ale treść podobną. Słowem próbowano leniwie i sennie płynąć, a nieświadome własnej siły potencjalnej wody ukraińskie i białoruskie skierować drogą szluz misternych ku przezornie wystawionym tuż nad ich brzegiem polskim młynom i tartakom, które miały i przecierają wszystko, co między żarna lub pod pilę parową trafi.

Dalej wymaga korektury zdanie francuskiego hagografa Guepin'a, który nazwał bazyljanów *les pères nourriciers du peuple ruthène*. Określenie to odpowiada najzupełniej rzeczywistości, jeśli ma znaczyć, że bazyljanie byli przez wieki stróżami pieczołowitymi religijności katolickiej ludu ukraińskiego, natomiast nie jest ścisłym, gdy się weźmie pod uwagę, że bazyljanie nie ustrzegli ludu ukraińskiego przed szeroką latynizacją i polonizacją. Sami bowiem zbyt ulegali pokusom latynizacji i polszczyli się w w. XVIII tak *nagminnie*, że byli wtedy bezmała nawskroś polskim zakonem, ba! *szpitalem szlacheckim*...

*) **Josaphat J. Skruteń O. S. B. M.** *Un demi-siècle d'histoire de l'Ordre des Basiliens (1882—1932)*. Essai de synthèse. (Lwów 1934).

Fragmenty historii bazyljanów znajdujemy rozrzucone po dziełach rosyjskich Kojalowicza, Pietrowa, ukraińskich Pełesza, Iwanowicza, oraz polskich Likowskiego, Załęskiego, Wołyniaka.

R. 1882 jest u o. Skruteń chronologicznym punktem wyjścia. Ważny to rok, bo wydany wtedy list apostolski Leona XIII zapoczątkował *reformę dobromiłską* bazyljanów, przeprowadzoną rękami jezuitów łacińskich. Towarzyszyła tej reformie głośnie a ostra nagonka całej bodaj prasy ukraińskiej tak na zamierzoną reformę, jak na jej sprawców i wykonawców. Jak w każdej polemice, padały nieraz głosy zbyt ostre, a mniej przemyślane. Lecz miała też ona swe strony dobre a pożyteczne. Pomijając już, że była wyrazem gorącego przywiązania greko-katolików Ukraińców do swego rodzimego obrządku i do swej ojczyzny Ukrainy, stanowiła też aktualne a pożyteczne ostrzeżenie, z którego głosem *volens nolens* liczyć się musieli tak wezwani do reformy zakonu św. Bazylego polscy jezuiti, jak i sami bazyljanie. Nawet dla ówczesnego episkopatu gr.-kat. miało to wartość orjentacyjną.

Opierając się na badaniach i wywodach Antonowicza, o. Skruteń charakteryzuje swych współbraci zakonnych, jako ludzi którzy *ne savent pas faire de la politique et ils ne sont pas nés diplomates*. No, no! Zbytek skromności! Bazyljanie zawsze, w nieporównanie większym stopniu niż biedny kler świecki Cerkwi unickiej, prowadzili pewną politykę i dziś świetnie w niej się orientują. Zawsze też doceniali znaczenie dyplomacji na świecie.

Więcej: zakon bazyljanów był nawet swego rodzaju, rzecz można, *academia dei nobili ecclesiastici* w łonie gr.-kat. Cerkwi, której dostarczył całego szeregu władcyków, dziś dalej tę funkcję spełnia i chyba nie raz jeszcze spełniać ją będzie, jako dostawca kandydatów na stolice biskupie i metropolitalne. Przecież niektóre czynniki w Rzymie wciąż jeszcze uważają, że małżeństwo księży gr.-katolickich jest źródłem *wszelkiego* zła, a celibat łaciński w takiejże mierze źródłem *wszelkiego* dobra. Właśnie wśród dzisiejszych bazyljanów znajdują się, w ilości nader obfitej, gorliwi wykonawcy tego programu.

Nie jest zupełnie uzasadniony sąd o bazyljanach tak minorowy, jak *sa vie comme son histoire sont ordinaires et pauvres*. Tak znowu źle nie było. Z przyjemnością także notujemy, że *nigdy* ryt słowiański nie był tak drogim dla zakonu św. Bazylego, jak w okresie po reformie dobromiłskiej.

Niepotrzebnie o. Skruteń odnosi autora głośniejszego swego czasu broszury *L'uniatisme* do rzędu swych... wrogów, gdyż jest to tylko przeciwnik, przysięgłym napewno ideowy.

Bardenhower nazwał wielkiego zakonodawcę, św. Bazylego, *ein Römer unter der Hellenen*. Niebezpiecznie się sprzeczać z uczonym specjalistą, ale nam by się zdawało, że będąc w Rzymie, ten doktor Kościoła niezawodnie byłby... *ein Hellene unter der Römer* i strzegłby mądrze spuścizny wschodniego Kościoła.

Oprócz historii wewnętrznej swego zakonu w półwieczu minionym, o. Skruteń to i owo umiał powiedzieć też o jego dziejach zewnętrznych. Tak wylicza nowe fundacje zakonne w kraju i w diasporze ukraińskiej, podaje statystykę zakonną z r. 1932, kreśli wnikliwie sylwetki generałów zakonnych (co. Filas, Hałuszczynski, Kałysz i obecny Tkaczuk), omawia zadania zakonu jak oświata religijna ludu, wychowanie młodzieży, akcja prasowa i in.

Szkoda wielka, że o. Skruteń w swym wytrawnym referacie nie mógł zanotować czynnego udziału bazylianów w akcji neounijnej. Niestety, nasi bazylijanie nie życzyli sobie wziąć udziału w emulacji najwybitniejszych zakonów na polu unijnem.

A przecież nie było wcale trudnym jeden, nawet pomniejszy, klasztor bazylianów w Galicji *ad hoc* przeznaczyć. Byłby to bazylijański Albertyn, Lubieszów, Kowel, *prieuré d'Amay*, lub Lille... Woleli nieraz nawet nie bez złośliwości, krytykować neounijne poczynania Albertyna, Lubieszowa, Kowla i zagranicy..., niż narażać się samym na taką krytykę za czynny w tej ciężkiej pracy udział...

Z żalem, że tak krótki, odkładamy świetny referat o. Skrutenia.

Grek.

Piszą do nas.

Zagadkowa historia.

Dnia 12.VIII b. m. przyjechałam z ramienia Lit. Tw. Św. Kazimierza, po objazdach powiatów lidzkiego i oszmiańskiego (z małemi względnie przystankami), do wsi Miluńce jako etapu kolejnego z całego szeregu wiosek pow. brasławskiego. Przyjechałam w charakterze lekarza wyznaczonego przez Lit. Tw. Św. Kazimierza dla udzielenia bezpłatnych porad lekarskich oraz wygłaszania pogadek w zakresie higieny i chorób zakaźnych jedynie tylko dla członków T wa.

Nazajutrz po przyjęciu chorych koło godz. 5 p. p. zjawił się posterunkowy z żądaniem dowodu osobistego, zapytując sarkastycznie, czy udzielam *bezpłatnych* porad *tylko* członkom T-wa i dlaczego niema w paszporcie żadnych oznak meldowania się od roku 1931.

Koło godziny 7 p. p. przyszedł poraz wtóry w towarzystwie żandarma i znowu oglądali mój dowód osobisty i znowu pytali dlaczego niema meldunków — pieczęci w paszporcie z ostatnich lat. Żądali także legitymacji od dwóch osób, znajdujących się w izbie — p. Misiunówny, kierowniczkii Ogniska T-wa Lit. Św. Kaz. w Opsie oraz wieśniaka, przybyłego o 3 klm. M. Krivelisa z wioski Zaborniki. Tych dwoje dowodów osobistych przy sobie nie miało. Muszę zaznaczyć, że p. Misiunówna przyjechała do Opsy do Miluńce w moich osobistych sprawach — przywiozła mi mój lekarski fartuch naprędce uszyty w miasteczku, a wieśniak M. Krivelis opowiadał mi, iż chce sprzedać siano dla wojska, dają mu tylko po 6 zł., a gdzieś w dalszych wioskach podobno płacą po 8 zł. za berkowiec. Przy tej okazji, jako że się spotkał z p. kierowniczką Ogniska z Opsy, prosił ją przy mnie o napisanie podania, którego treści wtedy nie usłyszałam; nazajutrz się dowiedziałam, że to było podanie do Inspektora Szkolnego o pozwolenie otworzenia szkoły litewskiej w tej wsi, skąd on pochodzi.

Policjant i żandarm zastali właśnie p. Misiunównę w trakcie pisania. Zabrali mój dowód osobisty razem z tem podaniem i kazali nam trojgu iść do komendy. Z komendy przeprowadzono nas do jakiegoś posterunku wojskowego. Po przeszło godzinnem oczekiwaniu podano wóz wojskowy z odrobiną słomy w środku. Usadowiliśmy się w nim jak kto mógł i pod ochroną żandarmów ruszyliśmy w drogę w kierunku Opsy.

Nie będę opisywała szczegółowo wszystkich pe-

rypetyj, jakie nas oczekiwały w Opsie. Prowadzono nas z jednego posterunku na drugi, potem znowu z powrotem. mieliśmy do czynienia to z przedstawicielami wojskowości, to policji państwowej, eskortowali nas żandarmi wojskowi, badali jacyś oficerowie, w końcu w południe, po spędzonej nocy w areszcie, zostaliśmy wezwani po kolei przed oblicze, zdaje się, p. kapitana. W rezultacie Kriwelis został poprowadzony piechotą do Brasławia, p. Misiunówna osadzona nadal w areszcie, a mnie pozwolono pod eskortą policyjną udać się na dworzec i wsiąść do pociągu, zdążającego do Wilna.

O powodach aresztowania nic konkretnego się nie dowiedziałam. Nie wiem też z jakiego tytułu ingerowały w całą tę sprawę władze wojskowe. Pytania, zadawane mi przy śledztwie dotyczyły mojej przeszłości, moich studjów medycznych, środków pieniężnych, z pomocą których otrzymałam wykształcenie i t. p.

W Wilnie rozmaite instancje, do których udawałam się ze skargą, nie umiały mię również objaśnić, na jakiej podstawie pozbawiono mię wolności i możliwości spełnienia włożonych na mnie przez T-wo Ś. Kazimierza zadań.

Wnioski i komentarze są zbyteczne.

Dr. Aleksandra Habdank.

Studjum Czecha o białoruskiej pieśni ludowej.

Wybitny muzyk czeski i badacz słowiańskiej pieśni ludowej p. Ludwik Kuba niedawno ogłosił drukiem w Pradze Czeskiej obszerną pracę, poświęconą studjom nad słowiańską pieśnią ludową*). Jeden z wielkich rozdziałów o 36 stronach poświęcił pieśni białoruskiej. Jest to zbiór złożony z 42 pieśni, zapisanych przez Kubę bezpośrednio z ust ludu w jednej tylko wsi Dańkowie, gub. smoleńskiej. Praca pomieniona była drukowana poraz pierwszy w czeskim czasopiśmie „Slovansky Sbornik” jeszcze w roku 1887. Z powodu tak odległego czasu i ukazania się zagranicą, pierwsze wydanie zbioru pieśni białoruskiej, niestety, nie było znane w naszym kraju i w historii muzyki białoruskiej o pracy Kuby dzięki temu niema żadnej wzmianki. W ten sposób pieśni owe należy potraktować poniekąd jako nowo odkryte. Ciekawem jest, że jedna z pierwszych prac tego rodzaju należy również do Czecha, Adolfa Černy'ego, który ogłosił drukiem pieśni zebrane w powiecie dziśnieńskim w końcu ubiegłego stulecia. W metodzie pracy obydwóch wspomnianych Czechów jest jednak zasadnicza różnica. Podczas gdy Černy podał 50 pieśni z nutami jako materiał, chociaż zebrany sumiennie, lecz w dziedzinie muzyki nie pozbawiony amatorstwa, — w studjum Kuby rzuca się w oczy ścisłość naukowca i dokładna znajomość przedmiotu ze strony nie tylko etnograficznej ale i teoretyczno-muzycznej. Lwią część pracy autora zajmuje materiał opisowy. Odnosi się wrażenie, że podane melodje stanowią jakgdyby tylko ilustrację i przykłady do opisowej charakterystyki białoruskiej pieśni.

Na wstępie autor stwierdza, że o ile na Biało-

* L. Kuba. Cesty za slovankou písní (1885—1929) sva-zek privy. V Praze 1933.

rusi muzyka ludowa instrumentalna jest skromną, o tyle bogatą i różnorodną w śpiewie.

Pieśni zapisane w Dańkowie Kuba ułożył nie w porządku przynależności ich do tych czy innych obrzędów lub świąt, lecz według oznak wskazujących na „wiek” danej pieśni, od najbardziej archaicznych aż do nowocześniejszych t. zn. w porządku chronologicznym, przyczem dziewięć dziesiątych, jak oznacza autor, należy zaliczyć do pieśni b. starych.

W odróżnieniu od studjów nad pieśniami innych narodów, Kuba na końcu każdej melodji białoruskiej podaje skalę nut użytych w pieśni w formie gamy podnoszącej się w górę, by w ten sposób unaocznić muzykalnemu czytelnikowi całą osobliwość budowy tych gam. Nie wszystkie przytoczone pieśni można zaliczyć do pieśni białoruskich. Mają wyraźnie charakter rosyjski pieśni oznaczone numerami: 107, 110, 128, 138, 139 i inne. Zresztą wpływu rosyjskiego lub ukraińskiego w pieśniach niektórych autor nie neguje.

Do jednych z najbardziej rzucających się w oczy cech, stanowiących o jej pochodzeniu, niewątpliwie należy zaliczyć tekst do pieśni ludowej. Znaczna część podanych przez Kubę pieśni posiadają w tekście mieszaninę białorusko-rosyjską, a często i całkiem język rosyjski. Wynikło to prawdopodobnie z tego, że autor nie zupełnie zna język białoruski. Nie znaczy to bynajmniej, aby pieśni podane, mające w tekście przewagę na rzecz języka rosyjskiego, można było nazwać rosyjskimi. Autor kierował się jedynie właściwościami melodji, nie zaś tekstu, i tu jego znajomość przedmiotu najczęściej nie zawodziła.

Oceniając pracę czeskiego badacza nie można ani na chwilę zapominać, że zebrany materiał naukowy znajdował się na terenie bliskim Rosji. Dańkowo, położone w pobliżu stacji Paczynak na południe od Smoleńska, w ostatnich stuleciach, jak cała Białoruś niewątpliwie uległa stopniowej rusyfikacji, przeto najprawdopodobniej część pieśni, zachowując najdokładniej element muzyczny niezmienny, uległa w tekście przemianom na rzecz języka rosyjskiego. To przekształcenie ze względu na bliskość obu języków mogła odbyć się bardzo łatwo, a pieśń ludową pomimo zmian można i należy zaliczyć do swej pierwotnej formy białoruskiej.

Z osobliwości pomijanych przez najnowszych badaczy białoruskiej pieśni ludowej należy podkreślić uwagi Kuby: że lud białoruski chętnie śpiewa nie tylko w zespole unisonowym, ale w wielogłosowym. Głosy te należy wszak traktować nie jako towarzyszące innym, lecz jako samodzielne, oparte na zasadach średniowiecznego kontrapunktu, nie zaś na harmonizacji w naszym rozumieniu, wypływającej z trójdźwięku. Pieśń przeznaczona do wykonania chóralnego, nie jest chętnie śpiewana przez śpiewaczkę pojedynczą. Lud odczuwa co do czego należy. Podobnie jest ze śpiewami, którym nieodłącznie towarzyszy taniec.

Studjum Kuby kończy się następującem spostrzeżeniem ogólnem:

„Wrażeniem głównem, które z Dańkowa wyniosłem, a które, sądzę, ma każdy z pracy niniejszej, jest to, że na Białorusi istnieje dużo pramaterji muzycznej (hojné hudebni pralaty); że miejscowe pieśni nieskomplikowane posługują się materiałem, jakiego im dostarczają interwale konsonansowe: kwinta i kwarta i w ten sposób dołączają się do

tych środków muzycznych, które wkraczają w dziedzinę tak zwanej gamy chińskiej. Ze względu na to, że Słowianie zachodni tych środków nie posiadają i że u nich najprostsze formy muzyczne poruszają się sekundami w objętości conajmniejszej,—mogłoby się zdawać, iż Białoruś tworzy granicę, odkąd zaczyna w pieśni słowiańskiej górować duch wschodni. Ale ponieważ skala pięciotonowa czyli chińska panowała ongiś w całej Europie zachodniej, t. zn. u plemienia aryjskiego, — zdanie swoje zmienimy i zaznaczymy tylko, że pieśń białoruska zawiera o wiele starszy materiał muzyczny, niż go widzimy u Słowian zachodnich”.

Cenne spostrzeżenia p. Kuby odnoszą się tylko do niewielkiego terenu zbadanego i dlatego nie mogą wyczerpująco oświetlić całości zagadnienia. Żałować tylko należy, że autor nie miał możności zapoznać się z omawianym przedmiotem na innych ziemiach białoruskich. Znalazłby tam niewątpliwie dużo ciekawego i nieznanego jeszcze materiału. Mimo to, omawiany materiał, zaczerpnięty choćby tylko z jednej wsi, w ręku tak fachowego i doświadczonego badacza jak p. Kuba, stanowi jedną z pierwszych i najpoważniejszych prac tego rodzaju.

Al. S.

Oświata pozaszkolna.

Nie łatwe ma zadanie na wsi pierwszy lepszy instruktor „gazowy” lub inny „pionier” z pozaszkolnej oświaty. Jedzie taki jegomość na wieś, bierze sobie do pomocy sołtysa, nauczyciela, lub policjanta, zapowiada odczyt, ale jako słuchaczom nie pilno, choć to nic nie kosztuje. Ludność zgóry nastrojona jest już pesymistycznie, jeżeli „naczalstwo” coś robi. Ale prelegent i na to ma sposób: przywozi ze sobą przezrocza czy mały aparat kinowy, a o gazach, o bombach lotniczych przypomni sobie tak przy „okazji”. No, bo jakże inaczej? Powiedzieć chłopu, że odczyt „specjalnie gazowy” a ten zaraz: „a ci prędko, panoczku, ich będą nareszcie puskać? Już tak dawno zapowiadają, a wojny jak niema, tak niema”. I nie bardzo chce słuchać. Robi się tedy odczyt *...rolniczo-gazowy* z przezroczeniami. Czy ludność wiejska czegoś się nauczy, to już inna kwestja, ma natomiast audytorjum przyjemność zabawić się kosztem prelegenta i tych, co jego na wieś posłali. O takim odczycie w Nowogródzkim piśmie barwnie jakiś czytelnik kurjerka krakowskiego na łamach tegoż z dnia 2. VII. b. r.

„Prelegent zaczyna od tego, „jak to wszystko mamy z ziemi, jak ziemia ta wydała trawę, trawa zaś wykarmiła „owieczkę”, potem następuje subtelne przejście do gazów trujących („bo to owieczka po zjedzeniu trawy też musiała coś wydać!..). A wszystko to „ukoronowane” wyświetleniem przezrocza o treści według zapewnienia udekorowanego prelegenta nader dowcipnej, a ilustrującej perypetje narzeczonego, który włożył na głowę „kapelus z wraz z zawartością pozostawioną w tym kapeluszu przez kota narzeczonej, który to kot miał przyjemność nad nim przysiąść”.

„Poziom pogadanki i przezrocza świadczy aż nadto dobitnie o możliwościach intelektualnych inicjatorów.

„A teraz, co pomyślał włożenie po wyjściu z takiej prelekcji, zarówno o samym prelegencie, jak i o takim inspektorze, który jako największy autorytet oświatowy, dał swoje „placet” na taką prelekcję? Bo znana jest u tutejszego ludu zdolność do szyderstwa i wycucia miernoty.

„Ludzie, którym się ziszcili sny o czynowniczym pióropuszu—muszą zrozumieć, że ludność kresowa to nie hotentoci, którym mogą wystarczyć kolorowe szkiełka”.

„I. K. C.” radzi od siebie natychmiast zlikwidować takich prelegentów. Łatwo to powiedzieć. Redakcja zapomina, że tego rodzaju oświatowcy najczęściej są importowani z Galicji. Jakże można tak krzywdząco pisać o „swoich” i przyczynić się do powiększenia bezrobocia w Krakowie? Ale żarty na stronę. Zacytowany list czytelnika świetnie informuje redaktorów kurjerka i jego dalekich od nas czytelników, że ludność „kresowa” istotnie posiada wycucie miernoty i zdolność do słusznego wyszydzenia tych wszystkich, którzy tu przyjeżdżają z miną „misjonarzy” kulturalnych i poczuciem nieusprawiedliwionej wyższości. Z.